



**M**orgarath, władca Gór Deszczu i Nocy, niegdyś siejszy baron Gorlanu w królestwie Araluen, wodził wzrokiem dookoła, spoglądając na ponury krajobraz swego jałowego i spłukanego deszczem królestwa i przeklinał pod nosem; przeklinał nie pierwszy i nawet nie tysięczny już raz.

Oto, co mu pozostało – poszarpane krawędzie granitowych stoków, skaliste rumowiska, pokryte śniegiem szczyty gór. Tylko kamienna pustynia, głazy i żwir na przełęczach, bez jednego drzewa lub choćby skrawka zieleni, który przełamałby jałową monotonię.

Choć minęło już piętnaście lat, odkąd zmuszony został wycofać się na to przeklęte pustkowie, które stało

się jego więzieniem, wciąż doskonale pamiętał bujne, zielone łąki i porośnięte gęstym lasem wzgórze krainy, którą władał za dawnych czasów. W strumieniach roiło się od ryb, pola wydawały obfite plony, zaś puszcza pełna była zwierzyny. Gorlan był przepięknym miejscem, w którym aż chciało się żyć. Góry Deszczu i Nocy to w porównaniu z nim martwe pustkowie.

Poniżej, na zamkowym dziedzińcu, oddział wargalów odbywał musztrę. Morgarath spoglądał na nich przez kilka sekund, nasłuchując gardłowego, rytmicznego pomruku, towarzyszącego każdemu ich ruchowi. Były to masywnie zbudowane, przysadziste i niekształtne stwory, przypominające wyglądem ludzi. Jednak ich wydatne szczęki przywodziły na myśl dzikie bestie, zaś łapy wyposażone były w pazury, niczym u niedźwiedzia albo wielkiego psa.

Wargalowie unikali kontaktów z ludźmi, żyjąc i mnożąc się w tych odległych górach od niepamiętnych czasów. Gdy Morgarath, knując plany buntu przeciwko władzy królewskiej, opuścił swe lenno Gorlan i udał się na ich poszukiwanie, nikt z najstarszych nawet mieszkańców królestwa Araluen nie widział żadnego wargala na własne oczy. Wciąż jednak jeszcze krążyły pogłoski i legendy o dzikim plemienu półrozumnych bestii, żyjących na pustkowiach. Jeśli takie stwory istniały, mogły zapewnić mu przewagę, której bardzo potrzebował w planowanych zmaganiach wojennych.

Trwało to całe miesiące, ale w końcu trafił na ich ślad. Poza pojedynczymi pomrukami, które nie przypominały żadnego słowa, wargalowie nie mieli własnego języka; ich prymitywne umysły jakoś porozumiewały się, bezpośred-

nio wymieniając między sobą proste myśli. Jednak pomimo tych niezwykłych uzdolnień wargalowie byli istotami jedynie w pewnej mierze rozumnymi, obdarzonymi ledwie załączkiem inteligencji. Tym łatwiej było zapanować nad nimi komuś, kto górował siłą umysłu i woli. Morgarath podporządkował sobie bestie, tworząc tym samym armię doskonałą dla swych potrzeb. Wargalowie byli szpetni ponad wszelkie wyobrażenie, całkowicie bezlitośni i bezwarunkowo posłuszni jego wypowiedzanym w myśli rozkazom.

Teraz, gdy na nich spoglądał, wspomniał rosłych rycerzy w lśniących zbrojach, którzy niegdyś walczyli w turniejach na zamku Gorlan i odziane w jedwabne suknie damy, które okrzykami zachęcały ich do boju lub wyrażały swój zachwyt dla ich zręczności. Barwne wspomnienia oraz widok tych porośniętych czarnym włosiem, pokracznych stworzeń sprawiły, że znów zaklął.

Wargalowie, przywykli nasłuchiwać jego myśli, wyczuili gniew swego pana i zamarli w bezruchu, nie wiedząc, co czynić. To rozwścieczyło go jeszcze bardziej. Polecił im wznowić musztrę: znów rozległo się miarowe zawodzenie.

Morgarath odszedł od nieoszlonego okna, bliżej ognia, który jednak nie mógł uporać się z wilgocią i chłodem tego ponurego zamczyska. Piętnaście lat – powtórzył w myślach raz jeszcze. Piętnaście lat, odkąd wystąpił przeciwko nowo ukoronowanemu królowi Duncanowi, który był wówczas zaledwie dwudziestoletnim młodzieńcem. Przygotowania do tego kroku wszczął znacznie wcześniej, jeszcze za życia starego króla, który zaczynał już wtedy niedomagać. Liczył, że po śmierci władcy

na zamku zapanuje chaos, trudno będzie zjednoczyć baronów, dzięki czemu on, Morgarath, będzie mógł sięgnąć po tron.

W sekrecie uformował i wyćwiczył swą armię wargalów, gromadząc ich właśnie tu, w górach, gotowych do uderzenia w każdej chwili. Kiedy król pożegnał ten padół, a w kraju zapanowała żałoba i baronowie udali się do Zamku Araluen na uroczystości pogrzebowe, pozostawiając swe armie bez wodzów – zaatakował. W kilka dni opanował południowo-wschodnią ćwiartkę królestwa, rozbijając w pył źle zorganizowane i słabo dowodzone siły, które próbowały mu się przeciwstawić.

Młody i niedoświadczony Duncan nie miał w tym starciu szans. Królestwo wydawało się już należeć do Morgaratha, a korona była w zasięgu ręki.

Wówczas jednak lord Northolt, naczelny dowódca wojsk zmarłego króla, utworzył wraz z młodszymi baronami lojalistyczną konfederację – zapewniając siłę, na której Duncan mógł się oprzeć i dodając odwagi tym, którzy stracili wiarę. Obie armie starły się na wrzosowiskach Hackham, nad brzegami rzeki Slipsunder. Przez pięć godzin żadna ze stron nie zdołała osiągnąć znaczącej przewagi, następowały kolejne ataki i kontrataki, siejące krwawe zniszczenie, lecz nieprzynoszące wyraźnego skutku. Rzeka Slipsunder była płytka, ale ze względu na ruchome piaski i grząskie błota tworzyła barierę nie do przebycia, osłaniając prawe skrzydło wojsk Morgaratha.

I wtedy jeden z tych pętaków w szarych płaszczach, których zwano zwiadowcami, przeprowadził potężny oddział ciężkiej kawalerii przez nikomu nieznany bród,

znajdujący się w odległości dziesięciu kilometrów od wrzosowisk Hackham, w górze rzeki. Opancerzeni jeźdźcy zjawili się w kluczowym momencie bitwy i spadli jak szarańcza na nieosłonięte tyły armii Morgaratha. Wyszkoleni pośród gór i skał wargalowie mieli jedną słabość. Nigdy nie zetknęli się z bezpośrednią szarżą ciężkozbrojnych jeźdźców i nie było żadnych szans, by stawili skuteczny opór tak niespodziewanemu atakowi kawalerii. Poszli w rozsypkę, wycofując się w ciasne wąwozy Przełęcz Trzech Kroków, a potem dalej, w Góry Deszczu i Nocy. Pokonany Morgarath umknął razem z nimi. Od tamtego dnia minęło piętnaście lat wygnania, wyczekiwania i spisków; piętnaście lat przeżytych w nienawiści do sprawców tej klęski.

Nadszedł jednak wreszcie czas odwetu. Czujność strażników królestwa została uśpiona, a szpiedzy donosili mu, że niemal zapomniano o jego istnieniu. Imię Morgaratha przeszło do legend, matki straszyły nim niesforne dzieci, grożąc, że jeśli nie będą grzeczne, czarny pan Morgarath przyjdzie je zabrać.

Sytuacja dojrzała do działania. Powtórnie poprowadzi wargalów do boju. Tym razem jednak będzie miał nowych sprzymierzeńców. Przygotuje grunt pod swe panowanie, siejąc zamęt i lęk. Teraz żaden z wrogów, którzy doprowadzili ongiś do jego upadku, nie będzie już żył i nie stanie w obronie króla Duncana.

W skalistych górach przetrwali bowiem nie tylko wargalowie, lecz i inne prastare, budzące grozę stwory. Te właśnie bestie pozyskał na sprzymierzeńców, dwie masz-kary o wiele groźniejsze od wargalów: kalkary.

Nadszedł czas, by spuścić je ze smyczy.



**S**próbuj coś zjeść, Willu. W końcu jutro czeka nas wielki dzień.

Jenny – jasnowłosa, ładna i wesoła dziewczyna, przysunęła bliżej Willa jego talerz z kolacją, której prawie nie tknął, i uśmiechnęła się. Will próbował odwzajemnić uśmiech, ale z mizernym skutkiem. Spojrzał z niechęcią na talerz, choć piętrzyły się na nim jego ulubione przysmaki. Od napięcia i wyczekiwania jego żołądek był tak ściśnięty, że z trudem mógł cokolwiek przełknąć.

Owszem, jutro czekał go wielki dzień. Wiedział o tym aż nazbyt dobrze. Miał to być najważniejszy dzień w jego życiu, ponieważ był to Dzień Wyboru, który określi jego los na zawsze i nieodwołalnie.

– Nerwy, jak przypuszczam – oświadczył George, odkładając widelec i ujmując się obiema rękami za poły kurty, niczym legista w sądzie. Był to chudy, żylasty chłopak, pilny uczeń, zafascynowany światem ustaw i paragrafów, ze skłonnością do rozważania wszystkich stron każdego zagadnienia – a czasem potrafił to czynić w sposób nader rozwlekły. – Nerwy to rzecz niedobra. Potrafią tak człowieka zmrozić, że nie może myśleć, mówić ani nawet jeść.

– Wcale nie jestem zdenerwowany – powiedział szybko Will, dostrzegając jednocześnie kątem oka, że Horace szykuje się do wygłoszenia jakiejś zjadliwej uwagi.

George pokiwał kilkakrotnie głową, rozważając stwierdzenie Willa.

– Z drugiej jednak strony – podjął – nieco zdenerwowania może wpłynąć korzystnie na twoje zachowanie. Może wzmocnić spostrzegawczość i zwiększyć chęć do działania. Tak więc fakt, że się niepokoisz – o ile w rzeczy samej się niepokoisz – nie musi być koniecznym powodem do niepokoju, że się tak wyrażę.

Will uśmiechnął się mimowolnie. George był urodzonym prawnikiem. Niemal z całą pewnością zostanie jutro rano wybrany przez Mistrza Skrybów. I na tym właśnie polega mój problem – pomyślał Will. Był jedynym z pięciorga podopiecznych, który miał powody, by niepokoić się, co przyniesie mu Dzień Wyboru.

– Nic dziwnego, że się boi! – rzucił wzgardliwie Horace. – Który z Mistrzów zechciałby go na swojego ucznia?

– Wszyscy jesteśmy zdenerwowani – wtrąciła Alyssa i uśmiechnęła się do Willa, co zdarzało jej się nieczęsto. – Pewność siebie byłaby oznaką głupoty.

– Ja tam jestem pewien siebie! – oświadczył zawadiacko Horace, a potem zrobił się cały czerwony, gdy Alyss uniosła jedną brew, a Jenny zachichotała.

Taka właśnie była Alyss. Will wiedział, że ta wysoka, pełna wdzięku dziewczyna otrzymała już obietnicę i zostanie przyjęta na termin do lady Pauline, Mistrzyni Służb Dyplomatycznych Zamku Redmont. Taktownie wspomniała o zdenerwowaniu, chociaż sama nie miała do niego żadnych powodów, i udała, że nie zauważyła, jakiego głupca zrobił przed chwilą z siebie Horace. Dowodziło to, że już teraz posiada niemałe uzdolnienia dyplomatyczne.

Rzecz jasna, Jenny znajdzie swe miejsce w kuchni zamkowej, gdzie panował niepodzielnie Chubb, Kuchmistrz Zamku Redmont. Był to mistrz nad mistrze, znany w całym królestwie, a sławę swą zawdzięczał bankietom, urządzanym w ogromnym refektarzu zamku. Jenny przepadała za jedzeniem i gotowaniem, a że z natury do wszystkich odnosiła się przyjaźnie i zawsze była w dobrym humorze, można było się spodziewać, że cechy te okażą się niezastąpione w kuchni, gdzie zawsze panował pośpiech i pełna napięcia atmosfera.

Horace wybrał Szkołę Rycerzy. Will rzucił okiem na swojego rówieśnika, który łakomie pochłaniał wielkie ilości pieczonego indyka, szynki i ziemniaków, spiętrzone na talerzu. Horace był mocno zbudowany i wyjątkowo rosły jak na swój wiek. W rzeczy samej, mógł się nie obawiać, że zostanie odrzucony. Właśnie takich rekrutów jak on poszukiwał sir Rodney, by kształcić ich na wojowników. Silnych, zdrowych, dobrze zbudowanych. I nie za bystrych – pomyślał z niejaką



goryczą Will. Przez Szkołę Rycerzy wiodła droga do stanu rycerskiego dla chłopców takich, jak Horace – pośledniego urodzenia, lecz dysponujących fizycznymi predyspozycjami, by służyć królowi w jego zbrojnych szeregach.

Natomiast Will... Jakiego wyboru powinien dokonać? Co gorsza, jak słusznie zauważył Horace, który z Mistrzów zechce go na swojego ucznia?

Dzień Wyboru stanowił punkt zwrotny w życiu zamkowych podopiecznych. Wszyscy byli sierotami wychowywanymi na zamku dzięki wielkoduszności barona Aralda, władcy lenna Redmont. Rodzice większości z nich zginęli w służbie króla, toteż baron uważał za swój obowiązek objąć ich opieką jako dzieci byłych poddanych i pozwolić im na poprawę własnego losu.

Taką szansę dawał właśnie Dzień Wyboru.

Każdego roku podopieczni z sierocińca, którzy ukończyli piętnaście lat, mogli zadeklarować, u którego z mistrzów licznych kunsztów i umiejętności – służących zamkowi oraz jego mieszkańcom – chcą się uczyć. Zazwyczaj terminatorów dobierano zgodnie z zajęciami wykonywanymi przez ich rodziców lub ze względu na wpływy tychże u Mistrzów Sztuk. Zamkowi podopieczni nie mieli rodziców ani żadnych wpływów, więc tylko od nich zależało, jaką przyszłość zdołają sobie wywalczyć.

Ci, których nie wybrał żaden z nauczycieli albo dla których nie znalazło się miejsce wśród uczniów, bywali przydzielani do chłopskich rodzin w okolicznej wiosce, dostarczającej żywność mieszkańcom zamku, gdzie pracowali na roli i zajmowali się bydłem. Will wiedział jed-

nak, że zdarza się to rzadko. Baron i jego Mistrzowie zazwyczaj bardzo się starali, żeby jakoś upchnąć wszystkich z sierocińca do terminu w takim czy innym rzemiośle. Jednak zsyłka na wieś zdarzała się i tego losu wszyscy najbardziej się obawiali.

Napotkał spojrzenie Horace'a, który posłał mu pełen politowania uśmiech.

– Nadal chcesz się zgłosić do Szkoły Rycerzy? – wymamrotał z ustami pełnymi indyka i kartofli. – Jeśli tak, to lepiej coś zjedz. Przydałoby się, żebyś trochę przybrał na wadze.

Parsknął śmiechem, a Will popatrzył na niego spode łba. Kilka tygodni wcześniej Horace podsłuchiwał, jak Will zwierza się Alyss – że nade wszystko pragnie zostać wybrany do Szkoły Rycerzy – i od tej pory zadręczał nieszczęśnika, wytykając mu przy każdej możliwej okazji, że ze względu na swą mizerną posturę żadną miarą nie nadaje się do nauki w szkole wojowników.

Najgorsze zaś było to, że Horace najprawdopodobniej miał rację. Horace był wysoki i muskularny, a Will niski i chuderlawy. Wprawdzie był szybki, zwinny i zaskakująco silny, ale po prostu za niski, a wiedział przecież, że właśnie okazałego wzrostu i masy oczekuje się od nowicjuszy w Szkole Rycerzy. Przez ostatnie kilka lat wbrew rozsądkowi żywił nadzieję, że nim nadejdzie Dzień Wyboru, jeszcze trochę urośnie. Przecież zdarzało się, że młodzieńcy w jego wieku nagle zaczynali rosnać jak na drożdżach i nabierać wagi. Jednak w jego przypadku nie doszło do niczego podobnego, a Dzień Wyboru przypadał jutro.

Z braku odpowiedzi Willa Horace wywnioskował, że zdołał celnie ugodzić współtowarzysza swymi słowami.

Nieczęsto się to zdarzało. Przez ostatnich kilka lat ich wzajemne stosunki były nader burzliwe. Ścierali się nieustannie, a Horace, jako silniejszy, zwykle brał górę, choć niekiedy i Willowi, dzięki zwinności, udawało się zaskoczyć przeciwnika kopnięciem lub uderzeniem, a potem prędko umknąć.

Jednak, o ile Horace zazwyczaj dominował w starciu fizycznym, niezwykle rzadko zdarzało mu się triumfować w utarczkach słownych. Umysł Willa był równie zręczny, jak cała reszta jego postaci, toteż chłopak niemal zawsze potrafił dopiec swemu roślemu towarzyszowi do żywego. Co prawda, to właśnie najczęściej prowadziło do bójki, bowiem Will nie nauczył się jeszcze, że nie zawsze warto mieć ostatnie słowo.

Tymczasem Horace postanowił pójść za ciosem.

– Żeby dostać się do szkoły wojowników, trzeba mieć mięśnie. Prawdziwe mięśnie – oznajmił, rozglądając się wokół, by sprawdzić, czy ktoś ośmieli się mu sprzeciwić.

Pozostali, czując się niezręcznie wobec narastającego między chłopakami napięcia, wbili wzrok w talerze.

– Mięśnie? Chyba między uszami – odpowiedział Will, a Jenny niestety nie potrafiła powstrzymać śmiechu. Twarz Horace'a zalała się krwią, zerwał się z krzesła. Jednak Will okazał się szybszy i nim Horace zdołał się dźwignąć, był już w drzwiach. Osilek zadowolił się więc rzuceniem za uciekającym kolegą ostatniej obelgi:

– Tak jest! Uciekaj, Willu bez nazwiska! Jesteś nikim i nikt cię nie zechce na ucznia!

Na zewnątrz, już w sieni, Will dosłyszał te słowa i oblał się rumieńcem. Takich przytyków akurat nie znosił

najbardziej, choć też i bardzo się starał, żeby Horace o tym nie wiedział. Czuł bowiem, że byłaby to niebezpieczna broń w rękach silniejszego współtowarzysza.

Prawda zaś wyglądała tak, że nikt nie znał nazwiska Willa. Nikt nie wiedział, kim byli jego rodzice. W przeciwieństwie do pozostałych podopiecznych barona, którzy również stracili rodziców, lecz historie ich rodzin były znane, Will pojawił się rzeczywiście jakby znikąd i to jako noworodek. Piętnaście lat temu znaleziono go owiniętego w pled i ułożonego w koszyku na schodach zamkowego przytułku. Do kocyka przymocowano kartkę z krótką notką:

*Jego matka umarła przy porodzie.*

*Jego ojciec zginął jako bohater.*

*Proszę, zaopiekujcie się nim. Na imię ma Will.*

Tego roku do przytułku przybyła tylko jeszcze jedna sierota. Ojciec Alyss był porucznikiem kawalerii i zginął podczas bitwy na wrzosowiskach Hackham, kiedy to armia wargalów Morgaratha została pobita i zepchnięta w góry. Zrozpaczona matka Alyss kilka tygodni po porodzie zapadła na gorączkę i umarła. W przytułku nie brakowało miejsca dla kolejnego podrzutka, a baron Arald okazał się dobrym człowiekiem. Pomimo niezwykłych okoliczności, wyraził zgodę, by Will został przyjęty jako podopieczny Zamku Redmont. Wszystko wskazywało na to, że jeśli na kartce napisano prawdę, ojciec Willa zginął na wojnie z Morgarathem, a ponieważ baron Arald odegrał w tych zmaganiach znaczącą rolę, czuł się zobowiązany, by wziąć pod swe skrzydła potomka nieznanego bohatera.

Tym oto sposobem Will został podopiecznym Zamku Redmont, gdzie dzięki wspaniałomyślności barona zyskał utrzymanie i edukację. Z biegiem czasu do niego i Alyss dołączyło troje pozostałych. Jednak, o ile tamci pamiętali swoich rodziców, a w przypadku Alyss istnieli ludzie, którzy ich znali i mogli jej o nich opowiedzieć, Will o swej przeszłości nie wiedział nic.

Dlatego też wymyślił historię, która towarzyszyła mu przez całe dzieciństwo w przytułku. Upływały lata, a on wzbogacał ją o szczegóły i ubarwiał, aż w końcu sam w nią uwierzył.

Wiedział, że jego ojciec zginął śmiercią bohatera. Nic więc dziwnego, że jako bohatera go sobie wyobraził – rycerza w zbroi, który walczył z hordami wargalów, siekąc ich mieczem na prawo i lewo, by wreszcie ulec liczebnej przewadze nieprzyjaciela. Will często wyobrażał sobie wysoką postać ojca; w myślach widział każdy szczegół zbroi i rynsztunku, ale nigdy nie był w stanie ujrzeć jego twarzy.

Skoro ojciec był wojownikiem, z pewnością oczekiwałby, że syn pójdzie w jego ślady. Właśnie dlatego Will tak usilnie marzył, by przyjęto go do Szkoły Rycerskiej. Dlatego też, im bardziej nieprawdopodobne stawało się, że zostanie wybrany, tym rozpaczliwiej trzymał się nadziei, iż jednak zdoła spełnić swe marzenie.

Wyszedł z zamkowego sierocińca na mroczny dziedziniec. Słońce dawno już zaszło, a zatknięte na murach co jakieś dwadzieścia metrów pochodnie rzucały nierówne, migocące światło. Zastanowił się przez chwilę. Nie miał ochoty wrócić do przytułku i wysłuchiwać niekończących się docinków Horace'a. Prędzej czy później

zakończy się to kolejną bójką, w której Will przypuszczalnie poniesie sromotną porażkę. George będzie próbował dokonać analizy jego sytuacji, rozpatrując ją ze wszystkich stron aż do całkowitego zawrotu głowy. Alyss i Jenny będą go pocieszać – zwłaszcza Alyss, skoro wychowali się razem od małego. Jednak Will nie życzył sobie ani ich współczucia, ani tym bardziej zaczeppek Horace'a, udał się więc w jedyne miejsce, w którym mógł być sam.

Wielki figowiec, rosnący w pobliżu głównej wieży zamku, często zapewniał mu schronienie. Will nie lękał się wysokości i wspinał się na drzewo wyżej i wyżej, choć niejedno dawno by się już zatrzymał, aż znalazł się pośród najwyższych, cienkich gałęzi, które kołysały się i uginały pod jego ciężarem. W przeszłości nieraz uciekał tu przed Horace'em. Osilek nie potrafił wspinać się równie szybko jak Will i nie miał odwagi zająć równie wysoko. Will wyszukał wygodne rozwidlenie i umościł się w nim jak w kołysce. Gałęzie poruszały się w podmuchach wieczornego wiatru. W dole widział groteskowo pomniejszone postacie strażników, dokonujących obchodu dziedzińca.

Usłyszał, jak otwierają się drzwi przytułku; ujrzał Alyss, która na próżno rozglądała się za nim po dziedzińcu. Wysoka dziewczyna stała tam jeszcze kilka chwil, po czym wzruszyła ramionami i wróciła do środka. Wyciągnięty prostokąt światła padającego przez drzwi zgasł, gdy cicho zamknęła je za sobą. To zdumiewające – pomyślał – jak rzadko ludzie spoglądają w górę.

Usłyszał szum miękkich piór i zobaczył sowę, która usiadła na sąsiedniej gałęzi, kręcąc głową. Wielkimi

oczami chwytala najmniejsze promyki słabego światła. Przyjrzała mu się bez obawy, jakby wiedząc, że z jego strony nic jej nie grozi. Była łowczynią. Bezgłośnie unosząc się w powietrzu władczynią nocy.

– Przynajmniej wiesz, kim jesteś – rzekł półgłosem do ptaka. Sowa znów przekrzywiła głowę, a potem wzbiła się w mrok, pozostawiając go sam na sam z własnymi myślami.

Siedział tak i patrzył, aż w zamkowych oknach światła zaczęły gasnąć, jedno po drugim. Pochodnie wypaliły się do dymiących głowni; kolejna zmiana straży, która objęła wartę o północy, wymieniła je na nowe. Wreszcie tylko w jednym oknie widać było światło. Wiedział, że to gabinet barona; pan na Redmont zapewne wciąż jeszcze pracował, przeglądając dokumenty i raporty. Ze swego miejsca na drzewie Will mógł obserwować przysadziłą sylwetkę wielmoży, siedzącego przy biurku. Wreszcie baron Arald wstał, przeciągnął się i pochylił, by zgasić lampę i udać się do swych apartamentów, mieszczących się piętro wyżej. Cały zamek spał, za wyjątkiem strażników, pełniących nieprzerwanie swą wartę.

Will zdał sobie sprawę, że za niecałe dziewięć godzin czeka go Wybór. Przygnębiony, po cichu zlął na dół i przemknął po ciemku do mieszczącej się w przytułku sypialni dla chłopców. Obawiał się najgorszego.

